GONIEC

Dziennik dla wszystkich.

Nr. 14. **Lwów 1887 r.** **Rok X.**

Wychodzi dwa razy na miesiąc. — Nadto, wszyscy prenumeratorowie „Gońca“ otrzymują bezpłatne dodatki, oraz czasopismo humorystyczne illustrowane „Iskra“. Prenumeratorom miejscowym wszystko odseła się do mieszkania.

Za odnoszenie dopłaca sie 5 *ct. miesięcznie* roznosicielowi.

Prenumerata „Gońca“ wynosi wraz z dodatkami i „Iskrą“:
tak we Lwowie, jak i na prowincji (z przes. poczt.):

rocznie	8 zł. — ct.
półrocznie	4 „ — „
kwartalnie	2 „ — „
miesięcznie	— „ 70 „

W Poznańskiem i Prusach, oraz w Niemczech 4 marek kwartalnie. — we Francji i we wszystkich innych krajach, oraz w Ameryce 5 fr. kwartalnie. które przesełać należy przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych.

Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych, stosownie do umowy.

Redakcja i Administracja znajduje się we Lwowie, przy ulicy Ossolińskich l. 10 od frontu ul. Cichej, gdzie sie przyjmuje prenumeratę, ogłoszenia. Prenumeratę przesełać należy przekazami pocztowymi, lub w listach pieniężnych franco pod adresem: Do Administracji „Gońca“ i „Iskry“ we Lwowie. — Listy powinny być frankowane.

Za granicą ogłoszenia przyjmują: w Wiedniu: Haasenstein et Vogler Wallfischgasse. A. Oppelik Stubenbastei, Rotter et Comp. I. Riemergasse 13, Daube et Comp. Maximilianstrasse 3; Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu, Brunświku i Szwajcarji: Haasenstein et Vogler; w Paryżu biuro anonsów pułkownika Raczkowskiego Foubourg Poissonier 32; w Peszcie ajencja ogłoszeń Langa. W Frankfurcie na M. Daube et Comp.

Właściciel i naczelnie kierujący częścią literacką i administracyjną: **M. D. Chamski**.

Piąty list o Wystawie krakowskiej.

Jeśli prawdę mam wyznać, to z całej wystawy krakowskiej, najwięcej zaimponowało mi... piwo i sikawki. Już to pić w Galicji i w Lodomerji z Wielkiem Księstwem krakowskiem mamy tyle, że w trunkach krajowego wyrobu możnaby się kąpać nawet.. Jest to podobno najsilniejsza strona naszego przemysłu. Ale, że znowu żołądki są dosyć puste, więc upijamy się łatwiej, bo przecież wiadomą jest rzeczą, że człowiekowi dobrze się żywiącemu trudniej się upić, jak temu, co głodny. Właściwie rzeczy biorąc, ustawa o pijaństwie nie dotyka wcale ludzi, co dobrze i dużo piją, tylko tych, co są głodni i chcą biedę zalać. Trzeba jednak oddać tę sprawiedliwość, że wśród wszystkich trunków, piwo, w ogóle, najuczciwsze zajmuje stanowisko. Upić się niem prawie nie można, rozweselić trochę jest w stanie, a posiła dużo — dlatego rozwój piwowarstwa u nas uważamy za bezwarunkowo pożyteczny i byłoby do życzenia, aby dobre i zdrowe piwo rozpowszechniło się po najbardziej oddalonych od głównych ognisk, zakątkach kraju.

Sikawki... kto u nas już nie robi tych sikawek? Który tylko z panów majstrów umie zrobić łopatę i rydel, to zaraz wymyśla jakąś sikawkę „własnego systemu“. Swoją drogą ten system tak jest „własny“, jak nieprzymierzając, są własne pomysły naszych najmłodszych komedjopisarzy, ale jest przekonany, że taką tylko sikawką można ogień ugasić — inne do niczego, „niezdałe“, wyrażając się po galicyjsku. Wsadzi tam jakąś gdzieś śrubkę w inne miejsce, zamiast z tej, to z innej strony wodę się ciągnie i powiada, że to jest jest jego „wynalazek“. Tymczasem w praktyce się okazało, że najlepsze i najpraktyczniejsze sikawki są z wielkich fabryk, bo w takich zakładach rozporządzają odpowiedniemi siłami technicznemi i mechanicznemi, a mając stosowne kapitały, mogą istotnie zastosować się do różnych potrzeb i wymagań lokalnych i nielokalnych. Dłubanina taka po warsztatach różnego rodzaju nikomu nie przynosi żadnego pożytku, a co gorsza, że przyprawia o straty tego, któremu się zdaje, iż jest wynalazcą, a jest właściwie mniej, lub więcej zręcznym mechanicznym kompilatorem, bez odpowiedniego kapitału. Gdyby taki „mechanik“ zużytkował swoje zdolności w większej fabryce, to z pewnością i dla ogółu, i dla niego byłby większy pożytek. Praktycznych sikawek mamy dosyć, nowych wynajdywać nie potrzeba — i nie dlatego tak częste są u nas pożary, że są złe sikawki, tylko dlatego, że najprzód, źle budują na wsi, powtóre nie ma zorganizowanej pomocy, gdy ogień wybuchnie, po trzecie nie ma odpowiednich narzędzi do ratowania i prawie zawsze okazuje się niedostatek wody, chociaż mamy jej tyle, że nas zalewa i zagarnia nasze zboża i dobytek.... Któryś z tych wynalazców na wystawie, okazał sikawkę, mogącą być przenoszoną rękami i zdawało mu się, że wynalazł coś extrapraktycznego — tymczasem każda sikawka może być przeniesiona rękami, naturalnie mniejszego kalibru, tylko, że dla wsi np. jest niepotrzebne, bo tam przystęp do ognia może mieć największa sikawka, a siły zwierzęcej i ludzkiej jest tyle, że można całą kamienicę przewrócić do góry nogami — trzeba tylko umieć użyć i zorganizować te siły, czego u nas prawie nigdzie nie ma.

Sikawki tedy, choć ich było dużo, nie odznaczyły się niczem na wystawie krakowskiej i według naszego zdania, krajowi wystawcy takowych nie powinni byli otrzymać żadnego odszczególnienia, bo wszystko, co pokazali, nie było niczem innem, jak tylko pacierzem za panią matką... Gdyby chociaż ceny podawali przystępne, ale gdzie tam... Żaden z miejscowych fabrykantów sikawek, ani pomysłem, ani wykonaniem nie mógł rywalizować z zagranicznymi tego rodzaju okazami, które pod względem specjalności bardzo daleko zaszły i pomimo, że wielce pożyteczną rzeczą jest, aby pieniądze zostawały się w kraju, w tym dziale maszyn i narzędzi, tu w Galicji, bez zagranicy obejść się jeszcze nie potrafimy. Zaprzeczanie temu, to są romanse i deklamacje, które tylko dowodzą nieznajomości lokalnych stosunków.

W następnym liście pomówimy o naszem piwie. (C. d. n.)

SPIEW ŁABĘDZI.

NOWELLA

przez

Jerzego Ohneta.

Przekład z francuskiego.

(Ciąg dalszy. — Patrz nr. 12.)

Lord Mellivan wyjechał, jak to zapowiedział, ale zostawił w Dieppe miss Daisy z mistres Harriet. Już sama ich obecność roztaczała w duszy Mery ten upragniony spokój, którego od tak dawna była pozbawiona, iż zdawało się, że odzyskuje zdrowie.

Daisy przychodziła co rano z ochmistrzynią, rozweselając mieszkanie chorej. Chodziła, śpiewała, ściskała i zabawiała siostrę, roztaczając dokoła urok swej młodości i wdzięku. Patrząc na nią, chwilami zdawało się biednej Mery, że wszystko, co przecierpiała było tylko przykrym snem, że zaślubiła swego Stenia za zezwoleniem ojca, nigdy nie opuszczała kraju, nie rozłączała się z siostrą, a ukochany jasnowłosy aniołek nie umarł, ale miał dopiero przyjść na świat.

Gdy nagle ukazywała jej się smutna rzeczywistość, wtedy zamykała oczy, aby nie tracić błogiego złudzenia, mówiąc sobie, tak powinno było być, tak jest teraz i jestem szczęśliwa.

Doznała jakiejś smutnej rozkoszy, rozmawiając o przeszłości z mistres Harriet i z Daisy. W rozmowach tych dawni wspólni znajomi przesuwali się przed jej oczami i przez całe godziny obie zatapiały się w oddalonych wspomnieniach. Trzy lata upłynęło od owego czasu. Zapominając o obecnych smutkach, czuła się prawie szczęśliwą.

Widząc ukochaną swoją weselszą i uspokojoną, Stenio wychodził pocichu i nie zadając sobie przymusu, nie męcząc twarzy przymusowym uśmiechem, błąkał się po odludnych miejscowościach. Wchodził na wierzchołek urwistych wybrzeży i tam siadał zadumany i samotny, mając w około siebie nieskończoność nieba i niezmierzoność morza.

Pewnego wieczoru, Marakczy wracając

ze zwykłej przechadzki, zastał w przedpokoju jakąś panią, czekającą na niego. Zmierzch zapadał, Marakczy chciał ją ominąć, uchyliwszy kapelusza, lecz ona powstawszy prędko, podbiegła ku niemu wyciągając rękę i zawoła głośno:

— Ach! nie poznajesz mnie, kochany panie Marakczy!.. Czyż tak bardzo się zmieniłam?..

Już zamyślał uciec bez ceremonji, aby uniknąć natrętnej rozmowy, gdy przybyła pani ujęła go za rękę i pociągnęła ku oknu.

— Czyż potrzebuję wymienić moje nazwisko? — zapytała z widoczną pewnością siebie.

Stenio ukłonił się i rzekł, zmuszając się do uśmiechu:

— Wybacz mi, księżno, od jakiegoś czasu tracę głowę.

I znowu próbował odejść, ale księżna nie chciała dozwolić mu ratować się ucieczką i siadając na ławeczce, zniewoliła artystę, aby zajął miejsce obok niej.

— Ileż to smutków i zmartwień przebyłeś pan od czasu naszego spotkania! — rzekła wzruszonym głosem. — Wierz mi pan, że całem sercem podzielam jego boleść... która nie mogła być obojętną nikomu z niezliczonych jego wielbicieli... Szczęściem zdrowie ślicznej żony pana podobno bardzo się polepszyło... Ach! jakże cudownie była piękną jeszcze parę lat temu w Wiedniu!.. Czy nie mogłabym jej odwiedzić?

Znudzony czczą gadaniną, odpowiedział krótko, iż jest to niemożebnem, ponieważ doktorowie nie pozwalają chorej przyjmować nikogo; poczem zamilkł, w nadziei, że księżna pożegna go i odejdzie, lecz ona powtórzyła tylko kilkakrotnie:

— Co za szkoda! co za szkoda!

— Jakiż jest cel odwiedzin pani? — zapytał nareszcie zniecierpliwiony Marakczy.

Piękna pani złożyła ręce i rzekła przybierając bardzo wzruszoną minę:

— Ach! wielki, genialny artysto!.. Tyle jest strasznej nędzy, a pan jesteś tak potężnym, że jednem słowem twojem setkom nieszczęśliwych możesz przynieść ulgę... Wszak niedaremnie zwracamy się do twego szlachetnego serca?.. Wyrzeknij to słowo, a będziemy ci nieskończenie wdzięczni...

— Chce pani, abym występował w jakimś koncercie? — przerwał. — Niepodobna! nie mogę tego zrobić.

— Ale to dla biednych sierot!

— Mogę dać pieniędzy — odrzekł żywo — ale nie żądaj pani, abym występował publicznie, kiedy bezmierna boleść szarpie mi serce.

Powiedział to podniesionym głosem, twarz jego poczerwieniała.

— Nie nalegaj pani — zawołał prawie surowo, widząc, że księżna chce prosić go jeszcze i wyjąwszy portmonetkę, dał jej paczkę pieniędzy.

Poczem kłaniając się z wdziękiem, przypominającym dawnego uroczego Stenia, rzekł uprzejmie:

— Winienem podziękować pani za danie mi sposobności przyjścia w pomoc niedoli.

I odprowadziwszy do drzwi opiekunkę zakładu sierót, pożegnał ją ukłonem i wszedł do pokoju żony.

Mery właśnie tylko co się położyła, a Daisy siedząc przy łóżku, czytała jej jakąś książkę. Zobaczywszy męża, chora uniosła się nieco na łokciu i przechylając lekko w tył głowę, której za bardzo ciężyły teraz ogromne jasno-blond włosy, zapytała cichym, osłabionym głosem!

— Z kim rozmawiałeś w przedpokoju, drogi Stenio? zdaje mi się, że słyszałam głos kobiecy.

— Czy jesteś zazdrosną, drogi mój aniele? — rzekł z udaną wesołością.

— O! nie, ale jestem ciekawa.

— Dowiedziano się już, że bawimy tu czasowo i jedna z pań przyszła męczyć mnie, abym wystąpił w koncercie.

— Zapewne na jaki cel dobroczynny? — spytała Mory.

— Naturalnie, jest to wiekuista piosnka natrętnych — odrzekł z goryczą. — Dla nieszczęśliwych! czyż tylko biedni są nieszczęśliwi?

Na te słowa cień smutku pokrył czoło chorej; widząc to Marakczy, dodał spokojnie już:

— Współczuję silnie niedoli biednych i złożyłem hojny datek od nas obojga dla tych nieszczęśliwych dzieci...

— A więc chodziło o biedne dzieci! — rzekła z żywem wzruszeniem.

Poczem zamilkła, łzy w oczach jej zabłysły i mówiła cicho, jakby do siebie:

— Dzieci!.. Jakże to boleśnie patrzeć na ich cierpienia... dla uchronienia ich od przykrości, chętnie możnaby oddać życie... Łzy dzieci mieczem boleści przeszywają serca matek... Jakże jednak szczęśliwe są te, co nie utraciły swoich i mogą widzieć je płaczące... O! drogie te maleństwa, takie rozkoszne, miłe, pieszczotliwe, ale i tak słabiutkie, że lada powiew porywa jo i unosi...

Bolesne westchnienie wydarło się z jej piersi, odwróciła głowę, aby mąż i siostra nie zobaczyli, że płacze. Po chwili zwróciła się ku nim i mówiła z wysiłkiem, ledwie dosłyszanym głosem:

(Ciąg dalszy nastąpi)

Teatr.

Sezon operowy we Lwowie w całej pełni... Powschodziły gwiazdy i świecą, jak która może — i swojem światłem, i pożyczonem i... bez światła... Nie wszystko złoto, co się świeci i nie wszystko też gwiazdą, co świeci — próchno także świeci...

Jakiś mędrzec teatralny, a teraz jest dużo mędrców teatralnych, powiedział, że gdzie nie ma tenora, tam nie ma opery.

Otóż, my jesteśmy w tem szczęśliwem położeniu.

Habemus tenor.

Tym tenorem jest p. Mateusz Matteo.

Nowy tenor, nowe nazwisko, nowy ród, bo w życiu tenorów, co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. P. Matteo zaczyna dopiero być tem, czem chce być i z pewnością będzie, jeśli się tam w piersiach i w gardle nie porobią jakie awantury..

„Trubadurem“ rozpoczęto sezon operowy. Miły Boże, ile ten „Trubadur“ rozpoczął sezonów, ile wyprowadził śpiewaków i śpiewaczek, których potem inne opery schowały pod ziemię — nie opisać na wołowej skórze...

Trubadurem był p. Matteo w „Trubadurze“. Głos prześliczny, niezwykły, pierwszy — jak dziś posiada dwa niedostatki: w średnich tonach niema dźwięku, metalu, w zbyt wysokich, cienki — ale to się zmieni — będzie p. Matteo miał pierwsze, a pozbędzie się drugiego, gdy sam owładnie swoim głosem i potrafi go używać.

Głos jest złotem, ale wtedy tylko ma wartość, jeśli go się obrobi w dukaty.

P. Matteo nieobyty jest jeszcze z orkiestrą — stąd częste detonacje, co się fatalnie ujawniało w „Fauście“, w drugim występie p. Matteo. W obec jadnak materjału wokalnego, jakim pan Matteo rozporządza — wszystko to nic nie znaczy — będzie z niego śpiewak niepospolity i kto wie, czy nie będzie zbierał dukatów za kopalnie złota, którą ma umieszczoną w piersiach własnych...

P. Silva śpiewała i zachrypła — poczekajmy tedy na drugi występ, gdy chrypka minie, bo nie chcielibyśmy, a raczej chcielibyśmy nabrać, w ogóle, lepszego wyobrażenia o tem, cośmy już słyszeli..

Pięknem mezzo-sopranem włada p. Holmar, która też w „Trubadurze“ śpiewała partję Azuceny. Jest to śpiewaczka o temperamencie artystycznym, co sprawia, że przy dobrym śpiewie, gra dobrze, a nawet są chwile, że odpowiednim akcentem niskiego głosu i grą pełną ekspresji, potrafi wywołać tragiczną grozę. Jest to śpiewaczka młoda, prawdziwie utalentowana — ma przyszłość przed sobą, a ponieważ, jak nas objaśniono, p. Holmar rozporządza osobiście dość znacznymi środkami materjalnymi, posiadając rodzinny majątek, może więc bardzo dopomódz sobie do swojej artystycznej karjery.

P. Giardini jest nowoangażowanym barytonem. Przezwał się po włosku, ale jest niemcem — znać to zaraz po metodzie śpiewania, która odznacza się, między innemi oszczędnością. Im mniejszym kapitałem śpiewak niemiecki rozporządza, tem oszczędniej go używa. P. Giardini najczęściej przekrada się ze swoim głosem — czasem jednak nie brak mu siły i dźwięku — to się szczególniej okazało w „Fauście“, w drugim występie p. Gardiniego, w partji Walentego.

P. Jeronim, bas — warszawiak — to nasz stary znajomy. Głos w niskich tonach nie głęboki, ale szlachetny, dźwięczny i bardzo przyjemny.

W „Fauście“ mieliśmy debiut. Malgorzatę śpiewała panna Cecylja Porthówna.

Recenzent, doprawdy, może być czasem, w okropnem położeniu.. Nie wiele bym mógł dać, ale zawsze dałbym coś, żeby tego debiutu nie było. Dawno już bardzo, nie widziałem tylu ludzi patrzących ze spuszczonemi głowami w ziemię, jak wtedy, kiedy p. Porthówna śpiewała Małgorzatę... Więc... o pannie Porthównie Cecylji — nie pisać podobno, najmilej...

Za to choć kilku słowy wspomnieć musimy, że pani Radwan ślicznie odśpiewała partję Siebla, a pani Kasprowicz ze znanym i sympatycznym talentem małą partję Marty — to samo należy powiedzieć o p. Koncewiczu.

Jednoaktówkę p. t. „Pantofel“ przedstawiono także w tych dniach po raz pierwszy na lwowskiej scenie. Mówimy wyraźnie „jednoaktówkę“, bo ją inaczej nazwać nie można. Jest to, wyrażając się trochę trywialnie, ni pies, ni wydra. Autorem tego jest pan Łuniewski — nieznany u nas zupełnie. Pan Łuniewski należy do tych literatów, którzy bardzo wiele zachcieważą, a na niczem kończą... P. Łuniewski chciał dużo, mało mógł, i nic nie zrobił... Najprzód był na prawie w Petersburgu, a potem poszedł na lewo i został dziennikarz m w Warszawie. Jako dziennikarz-literat, należał do tych wró-

śli, którym się często zdaje, że mogą być słowikami; potem pan Łuniewski zniknął z horyzontu literackiego i zmieniwszy stan literacki, na stan małżeński, osiadł na wsi. Tu mu się widocznie szczęściło i po chudej praktyce literackiej odżywiwszy się należycie kluskami i baranią pieczenią, za którą zawsze przepadał, uczuł nagle w sobie „iskrę" i popełnił „komedję" którą nazwał „Pantoflem". Czy „komedja" ta osnuta jest na osobistych stosunkach autora, tego niewiemy, ale to pewna, że jest rzeczą tak słabą, iż nadto, cośmy napisali, więcej pisać nie mamy potrzeby. Szkoda czasu i papieru.

Bylibyśmy zapomnieli w zachwycie operowym, że w sam dzień zaduszny, dyrekcje teatru hojnie i z rozrzutnością bogacza, uczęstowała nas oratorjum Gounoda: Mors et Vita, ze współdziałem Lutni i z zateatralnych sił wokalnych, jak państwo Souvestre, panna Pawlików, p. Cetwiński i inni— dyrygował zaś p. Gall. Oratorjum to sprowadzone zostało prosto z Londynu, gdzie było po raz pierwszy wykonane. Lwów zatem by drugiem z rzędu miejscem, na całej kuli ziemskiej, w którem Mors et Vita, produkowało się. Coś podobnego stolicy naszej ściślejszej ojczyzny, jeszcze się nigdy nie zdarzyło... To nam tak dalece zaimponowało, że wolimy złożyć pióro, poprzestając jedynie na tej wzmiance, że wykonanie było istotnie bardzo staranne, tak pod względem orkiestrowym, choralnym i solowym, i że pan Gall, nietylko umiejętnie dyrygował, ale widać było, że z wielką znajomością rzeczy umiał przygotować to niezwykłych rozmiarów talentu i charakteru dzieło muzyczne.

W Noc Maskaradową.

Powieść z francuskiego

przez

AUTORA „STAROŚCI LECOQU'A".

(Ciąg dalszy. Patrz Nr. 13.)

— Tego mam dość — rzekł Nointel, widząc z odpowiedzi hultaja, że o niczem więcej nie wie.

— Bądźcie panowie zdrowi — dodał po chwili kapitan — a pamiętajcie, że nic nie uchodzi mojej uwagi.

— Dziś mi się nie wiedzie — pomyślał, gdy został sam nareszcie. Dotychczas nie mam jeszcze drogi dowodów, ale mam nadzieję zebrać je... za tydzień może, za miesiąc, ale w każdym razie będę je miał. Jak na teraz, zabezpieczyłem już spokój rodziny Crossonów... dowiedziałem się, co Berta porabiała w noc maskaradową... wpadłem na ślad mamki, a w tych dniach będę w stanie powiedzieć matce, że dziecko jej żyje i zdrowe.

Powróciwszy do domu zastał list od Gastona, w którym tenże go zawiadamia, że Berta Letereuil nazajutrz miała być uwolnioną, za poręczeniem. W nocy z soboty na niedzielę dwóch sierżantów miejskich znalazło na bulwarze La Villete, na rogu ul. św. Ludwika domino czarne i maskę. Rzeczy te poznała handlarka kostiumów, która sprzedała je pannie Letereuil. Otóż, jeden z tych sierżantów uzupełnił zeznanie, że wkrótce potem, jak podniósł domino z bruku, słyszał dokładnie, jak wybiła trzecia godzina. Otóż, zbrodnia popełniona o godzinie trzeciej przez kobietę w dominie, nie mogła być przecie dokonaną przez tą samą, która już o godzinie trzeciej porzuciła domino na bulwarze La Villete.

Niespodzianka.

Nazajutrz po balu u margrabiny Barankos, o godzinie dziewiątej z rana na przedmieściu św. Dyonizego niejeden z przechodniów obracał się, ażeby się przyjrzeć bardzo ładnemu młodemu dziewczęciu, jadącemu odkrytym powozikiem.

Podniosła woalkę i pełna piersią oddychała świeżem powietrzem.

Berta Letereuil wcześnie z rana obudzona została przez przełożoną sióstr Marji-Józefa, która jej oznajmiła, że wypuszczona zostaje na wolność.

Na tę wiadomość Berta o mało co nie zemdlała z radości, a nieco później, gdy zaledwie zdążyła podziękować Bogu za swe wybawienie, przyszedł dyrektor więzienia i oświadczył z niejaką ostrożnością, że ta wolność jest tylko czasowa, że rozkazu uwolnienia zupełnego jeszcze nie było, że zatem zawsze jeszcze pozostawać będzie w rozporządzeniu władzy sądowej.

Gorżko zapłakało biedne dziewczę i o mało co nie odmówiło korzystania z tak smutnej łaski.

Wówczas postanowiła pojechać do jedynej opiekunki, jaka jej może pozostała. Nie wiedziała o tem, że pani Cambry złożyła za nią odpowiednią kaucję, nie wiedziała nawet, że prawo wymaga takiej rękojmi, przypuszczała jednak, że pani Cambry interesuje się nią i spodziewała się, że ją przyjmie i prośbę jej sędziemu śledczemu powtórzy.

— Do alei Eylau — rzekła woźnicy.

Pani Cambry nie było w domu.

Berta kazała jechać do lasku bulońskiego.

Jechała tam, dokąd ją pchało opanowujące ją pragnienie oddychania świeżem powietrzem podobne do uczucia ptaka, wypuszczonego z klatki.

Zwolna zapomniała o przebytych cierpieniach, o mękach teraźniejszości i przyszłości niepewnej. Zdawało się jej, że o sto mil jest od więzienia, marzyła i sądziła, że rojenia te nigdy się nie skończą, gdy na zakręcie alei okazał się młody człowiek.

Berta poznała go i krzyknęła ze zdziwienia — przed nią był Gaston Darcy, blady ze wzruszenia i radości. (C. d. n.)

Nadesłane.

OGŁOSZENIA.

Odpowiedzialny za redakcję i wydawnictwo Franciszek Ks. Kowaliszyn.

Z drukarni „Dz. P.“ pod zarządem J. Mittiga.